



**HELENA
SEKUŁA**

UWAGA



ŚLAD WĘŻA

Helena Sekuła

ŚLAD WĘŻA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-18-2

Copyright © Helena Sekuła

Projekt okładki: Marcin Labus

1.

– Tak dalej być nie może!

Z klubu brydżowego wrócił bardzo wzburzony mąż. Nie powiedział nawet dobry wieczór. Staje w prześwicie do przykuchennego kąta Bogny, między regałem, dzielącym pomieszczenie, a ścianą.

A temu co się stało – przegrał mecz – Boże, akurat dzisiaj musiał zjawić się tak wcześnie – jakie wcześnie – dochodzi północ – niechaj nade mną nie wisi – niech idzie do siebie – dlaczego tkwi w przejściu –

– Co się stało? – odruchowo pyta Bogna, chociaż wie. Przeważnie to samo. Tylko pretensje, nigdy konkretne, nigdy dotykające sedna, wybuchają pozornie z różnych przyczyn.

Układ jest niezdrowy. Od dawna. Żyją obok siebie, w swoim dziwodomu. Wyczekują. Na co czeka Bogna? Już na nic. Czuje się stara. Roztrwonila życie. Wymieniła na spokój, którego nie ma, i na mieszkanie, właściwie kąt w kuchni, odgradzony meblościanką. Jeden pokój należy do męża, drugi do córki. Co się rozumie samo przez się. Ulka musi mieć warunki do życia i nauki. Mąż musi mieć warunki do swojego brydża i odpoczynku po dniu pracy.

Odkąd pękła krucha nić porozumienia, ustała czułość nocy, mąż pozostał w ich pokoju. Nie jego wina. Mąż widzi zerwanie intymnych więzi w kategoriach przestępstwa i kary. Bogna zniszczyła wspólnotę, niech więc ponosi konsekwencje swojego czynu. I tak uważa siebie za bardzo szlachetnego, tolerując nienormalny układ. Oczywiście, gdyby nie dobro dziecka!

Ale z pokoju nie ruszy się nawet dla dobra dziecka. Jednak zajęcie przez Bognę kąta w kuchni, tak naturalnie, jakby nie istniała inna konfiguracja, przyjął z nieskrywaną urazą. Bogna ów podział uważa za oczywisty, jedynie możliwy i mimo wszystko czuje się winna.

Na co czeka mąż Bogny?

Na miłość Bogny, kocha ją jeszcze? Jego zachowanie o tym nie świadczy.

Jak długo można zabiegać o coś, czego nigdy nie było, nie ma i nie będzie? Jedno jest niezmiennie i on o tym wie. W sprawach ważnych można na Bognę liczyć. Bogna wie, w sprawach ważnych można na męża liczyć. Wzajemne wsparcie to dużo, zwłaszcza kiedy się nie ma niczego w zamian. W pewien sposób są sobie potrzebni. Żadna miłość.

Miłość jest bezinteresowna. Lojalność stanowi trwałe element miłości. No, więc jest element, tylko nie ma reszty, zwłaszcza wspólnego życia ani w przenośni, ani dosłownie. Poza tym ważne momenty trafiają się, chwala Bogu, niezbyt często, a powszednie wydarzenia toczą codziennie, osiadają jak muł na ich związku-nie-związku. Więc oni wszystko, co drażliwe, splątane i bolące, opakowują w slogan: dla dobra dziecka! To pozwala nie myśleć, nie zastanawiać się i mieć o sobie dobre mniemanie.

– Co znowu za afera z Kociarą? – denerwuje się mąż.

Bogna, zamknięta w sobie jak małż, wciąż przeżywa niedawne zdarzenie.

– Nie ma lokatorki spod czterdziestego? – tłusty kurdupel bez płci i wieku przyczaił się poniżej podestu. Dozorca.

Właśnie Bogna zdążyła zatrzaskać drzwi tego mieszkania. Odwróciła się gwałtownie, zaskoczona jego obecnością. Nie słyszała, gdy nadszedł, chociaż dobiegł szcęk windy z piętra wyżej. Widocznie stamtąd skradał się po schodach.

– Nie ma jej? – nie ustępował.

– Nie ma – Bogna schowała klucze do kieszeni.

– Mogę mieć brykę na sobotę. Pojedziem za miasto, odpoczniem, zabawim się.

Bognę, zajętą sobą i słuchającą byle zbyć, trochę zdziwiło, że o dziesiątej wieczorem pod cudzymi drzwiami dozorca zwierza się jej ze swoich projektów rekreacyjnych. Bogna z mężem mieszkają tutaj od kilku lat, ale dotychczas jej kontakty z dozorcą nie wyszły poza

dzień dobry i zwyczajowy noworoczny bakczysz, który zresztą dawał mąż. Bogna czuła odrazę do tego człowieka, dozorca zajadłe tępił piwniczne koty i wojował z kocim lobby, któremu przewodziła emerytowana księgowa spod czterdziestego.

– Gdzie się spotykamy? – chciał wiedzieć dozorca.

Dopiero do niej dotarło. Wypad za miasto pożyczoną bryką nie jest opowieścią o rodzinnej sobocie ciecica, tylko konkretną propozycją wyrażoną dość kategorycznie.

– Na sądzie ostatecznym! A teraz proszę zejść mi z drogi – Bogna przełożyła koszyk na lewe przedramię, prawą ręką ujęła rondel, w którym zaniósła sąsiadce zupełę, zdecydowana zdzielić zalotnika, ale odsunął się pod ścianę, dając jej przejście.

W domu puściły nerwy. Dygotały ręce, kiedy próbowała je czymś zająć. Czuła się znieważona już samym faktem, że ten prymityw śmiał mieć jakieś plany w związku z nią. Upokorzenie. Odraza. Niepokój.

Typ jest fatalny, dotychczas jednak nie słyszała, aby składał podobne oferty innym kobietom z bloku. Zrobiła przegląd różnych męskich zachowań względem siebie. Nawet jeśli było w niej coś prowokującego, skunks przez kilka lat nigdy nie zdobył się na podobne awanse. Więc dlaczego właśnie teraz, co go aż tak ośmieliło?

A gdyby nie był kurdupłem w nieokreślonym wieku z gromadą dzieci na karku, prymitywem mordującym koty, z aurą małego szpicla, gdyby zamiast kupy tłuszczu z brakami w uzębieniu, podobnie zachował się mężczyzna wyglądający jak mężczyzna i bardziej ucywilizowany, byłaby podobnie oburzona? – wtrąciła się druga Bogna, racjonalna, zawsze poszukująca istoty rzeczy. O zachowaniu tej kreatury nie wspomni mężowi, wie, jak by zareagował.

– Ty zawsze wpasujesz się w jakiś skandal. Sama jesteś winna, musiałaś dać powód. Nigdy się nie zdarzyło, aby zaczepiał inne kobiety – wyraziłby przekonanie mąż, chociaż inne kobiety z bloku mężowi Bogny raczej się nie zwierają.

– Kogo podkarmiasz w domu przyjaciółki kotów?! – szaleje mąż.

– Koty.

– Ona nie ma domowego kota.

– Skąd wiesz, sprawdzałeś?

– Właśnie miałem zamiar to zrobić. Oddaj klucze od jej mieszkania.

– Dozorca! – olśniło Bognę. – Napuścił ciebie cieć!

– Nieważne. Klucze!!! Dawno przestało mi na tobie zależeć. Godziłem się na ten chory układ, ponieważ nie masz dokąd pójść, ale w tym środowisku uchodzimy za małżeństwo i twoje postępowanie uderza we mnie. Kompromituje!

– Nie zrobiłam nic nagannego.

– Nie? A przetrzymywanie faceta piętro niżej uważasz za naturalne? I to ledwo właścicielka zdążyła przełożyć nogi za próg! A może za jej wiedzą, co?! Rajfura, stręczycielka! I teraz muszę obić gościowi mordę, chociaż wcale nie mam ochoty, ciebie wyrzucić z domu, Kociarze przestać się kłaniać, inaczej nie będę miał życia na osiedlu – ponuro bilansuje mąż.

– Opanuj się, nic nie będziesz musiał. Usiądź, wyjaśnię w czym rzecz.

– Przestań udawać zajączka! Klucze!

– Nie mogę dać kluczy. Zrozum. Przrzekłam...

Mąż porywa torebkę Bogny wiszącą na kołku przytwierdzonym do boku regału, z braku innego miejsca wytrząsa zawartość na podłogę, toczą się drobiazgi, sąsiedzkich kluczy nie ma.

– Wyłamię zamki – z zimną furią cedzi mąż. Rzuci się do kuchennego aneksu izby, z szafki pod zlewozmywakiem porywa jakieś żelastwo, dopada klamki.

– Zostań, nie ośmieszaj się. To zemsta ciecica! Wszystko ci opowiem – błaga Bogna.

– Sam sobie opowiem – mąż z rozmachem otwiera drzwi i zderza się w progu z widmem. Widmo ma szczelnie zapakowaną w chirurgiczną gazę głowę i szyję, jak zza zakonnego kornetu widać tylko trójkąt twarzy koloru świeżej wątroby, krwawe wybroczyny na policzkach, szparki oczu spod opuchniętych sinych powiek.

– Zboczeniec! Pobił panią – mąż rozpoznaje we wskrzeszonej mumii Kociarę.

– Kto?!

– Jak to kto! Gość mojej żony.

– O czym on mówi? – ostrożnie dowiadyuje się przyjaciółka kotów.

– Nie o czym, tylko o kim. O facecie, którego trzymam u ciebie podczas twojej nieobecności, bardzo możliwe, że za twoją wiedzą, i któremu właśnie wybierał się nakłaść po twarzy.

– Zdaje się, przyszedł w porę.

– Ja z narażeniem opinii i świętego spokoju strzegę tajemnicy, ty urządzasz sobie spacery o północy.

– Właśnie diabli wzięli tajemnicę.

– Skunks?

– Skunks. Sadysta zaczął gmerać w zamku, pomyślałam, zaciął się rygiel i Bogna nie może odemknąć zasuwy. Otworzyłam i on mnie sobie obejrzał.

– Co pan robi pod moimi drzwiami?! – pytam.

– Sprawdzalem, czy nie zakradli się złodzieje, ale co się pani stało?!

– Reakcja na pański widok.

– Co proszę? Wygląda pani jakby wpadła pani do kielbasiarki.

– Nie pytam pana jak wyglądam, ale jeśli jeszcze raz przyłapię na podsłuchiwanie, ma pan pozew sądowy pewny jak dół za cementnym płotem! Zmył się, mamrocząc: lokatorka rozgłasza wyjazd, a siedzi w mieszkaniu z podbitym limem i udaje nieobecność. Myślałem, ta od brydżysty ukrywa i karmi tu jakiegoś menela, bo brydżysty nigdy nie ma w domu.

– Powiecie wreszcie, co się tu dzieje?!

– Nic. Dałam sobie zrobić zabieg kosmetyczny i nie chciałam, aby mnie oglądano, póki się nie wygoi. Sam pan widzi, nie ma czym szpanować, więc rozgłosiłam, że wyjeżdżam, a skoro mnie nie było, nikomu nie mogłam otwierać. Proste?

– Ona jest beznadziejna – mąż wytyka Bognę palcem.

– Mam imię, wiesz? – mruczy Bogna i zaczyna rozumieć bezczelność Skunksa. Jeśli mogła przechowywać faceta w mieszkaniu sąsiadki, równie dobrze powinna zgodzić się na niego, nie jest gorszy od innych.

– Ona jest beznadziejna. Zawsze wpakuje się w jakiś fantastyczny skandal, który nigdy nie przydarza się normalnym ludziom. Ma blisko czterdzieści lat – postarza Bognę mąż – a zachowuje się jak niedorozwinięte dziecko – mąż wypomina Bognie lata takim tonem, jakby wiek był większym obciążeniem niż nieumiejętność czy brak przewidywania.

– Trzydzieści pięć – z godnością prostuje Bogna.

– Kłóćcie się szeptem – radzi zaspany podłotek na bocianich nogach. Ulka pojawiła się w drzwiach i ziewa rozdzierająco.

2.

– Musimy przesunąć akcenty... – zaafierowany Magister podawał Bognie zagryzmołoną kartkę, z której musiała odgadnąć ulepszoną koncepcję właśnie wykańczanej planszy.

Dodać, ująć, przerobić, a najlepiej wyrzucić – niemo złościła się Bogna, przytwierdzając samoprzylepną taśmą świstek ze zreformowanym pomysłem do styropianowej tablicy, zawieszzonej w tym celu na ścianie. Roily się na niej karteluszkę i za

były powiewem trzepotały, szeleszcząc nad głową, migotając kolorami jak egzotyczne motyle.

Bogna przypinała do rajzbretu świeży arkusz kalki technicznej albo szykowała brystol na sztalugach. Nauczona doświadczeniem niespiesznie wybierała grafion, kredkę lub plakatówkę, przewidując odwlekając rozpoczęcie udoskonalonej wersji projektu.

Pierwszy magister słał drugiego magistra, który uzupełniał, za nimi wpadał trzeci z dodatkowymi poprawkami. Wreszcie, jak jej się zdawało, znalazła na nich sposób. Nie zaczynała rysunku, czekając, aż im się znudzi wymyślanie kolejnych zmian, lecz inwencja magistrów była niewyczerpana i zdarzało się, że wywracali na nice gotową już pracę. Jeśli zbyt opóźniała działanie, magistry stawali się nerwowi, spłoszeni i nieszczęśliwi, padał na nich cień adiunkta i sięgał do kąta Bogny, nazywanego stanowiskiem plastycznym.

– ...Narzuca własny punkt widzenia... żeby powiedział od razu, czego chce, nie byłoby poprawek... uczy myśleć... Nie znosi, jeśli się coś robi pod niego... lizusa wyczuje jak jamnik kreta... najoryginalniejszy temat, jeśli nie on sam wymyśli, utrupi... nie utrupi... właśnie że utrupi... a właśnie nie utrupi, moja praca przeszła... Ma męczący rodzaj intelektu... – Czy dobrze czy źle, wciąż mówili o adiunkcie obecnym wśród tego klanu przez cały dzień, bez względu na fakt, gdzie się akurat znajdował fizycznie. Wyzwalał różne emocje, nigdy obojętność.

Wyraźnie był osobowością, sądząc z półsłówek docierających do Bogny: tyran, intelektualista, stupajka, wielka wyobraźnia twórcza, wymagający, satrapa, dyscyplinujący myślenie.

– Oni mi ciebie wmówili – powiedziała kiedyś później i nie był to zupełny żart.

Z tego wzmówienia zaczęła spoglądać na uciążliwość własnej pracy z większym zrozumieniem. Widocznie magistry powinni knocić projekty plansz i rysunków, widocznie knocenie należało do edukacji i w ogóle. Tak się dochodzi do samodzielnego rozumowania. Uczony najczęściej już po zbudowaniu koncepcji dostrzega, że można coś jeszcze dodać, ująć albo zacząć od nowa, natomiast adiunkt poza wszystkim ma jeszcze męczący styl pracy. Rzuca odkrywczą myśl albo ulepsza odkrywczą myśl, albo wymienia jedną odkrywczą myśl na bardziej odkrywczą myśl, kiedy materialne następstwa, czyli opracowania, zmierzają ku finałowi lub właśnie zostały zakończone.

Przez pierwsze kilka miesięcy Bogna widywała adiunkta rzadko i z daleka. Średnio rosły kudłacz mijał ją na korytarzu w tempie zawodnika ćwiczącego marszobieg, może nawet zauważył Bognę (co jednak nie jest pewne), lecz zawsze jakiś adept z terminujących w Instytucie okazywał się bardziej łakomą zdobyczą.

– Proszę do mnie, kolego.

Bez przystawiania zagarniał ramieniem przypadkowo zaplątanego w strefę grawitacji i tyle ich Bogna widziała, po wszystkich zasłyszaniach ciekawa osobnika, który był pierwszym po Bogu wśród kadry, jeśli za Absolut uznać profesora.

Z początku magistry jawili się Bognie jako monolit nieznośnych gamoni, następnie jako gromada niezgułów wciąż zapominających coś dodać, ująć, albo przeinaczyć w beznadziejnie monotonicznych schematach.

Nie zawsze były to wykresy, czyli słupki, słupy, kostki albo barwne plamy, koła początkowane na nierówne kawałki, nie zawsze figury geometryczne. Zlecano jej również rysunki na określony temat. Kanciaste ludziki, zwierzęta, martwe natury.

I wówczas miała co poprawiać, przerabiać albo zaczynać od nowa. Oko ryby, płetwę, w ogóle całą rybę, zamiast której lepsza okazywała się ośmiornica. Bogna otrzymywała drobiazgowo wskazówki, jak taka stwora ma wyglądać, ponieważ nie była to zwyczajna ryba tylko ćwiczenie na przykład z socjotechniki.

Magistry długo pozostawali magmą rozciągniętych swetrów i sfatygowanych džinsów. Następnie rozwarstwili się na: kudłato-brodatych, tylko brodatych z powodu skąpego

uwłosienia głowy, łysych i kudłaczy gładkoszczękich. Jeszcze później okazało się, że mają różne twarze i postury, w ogóle są odrębnymi osobnikami, i wcale ich tak dużo nie ma. Podlegali adiunktowi, prowadzącemu prace badawcze, mieli w perspektywie doktoraty, firmowane przez szefa Instytutu, który poza podpisem na dyplomach wyręczał się adiunktem, zwracając się do niego per panie profesorze, podobnie jak i doktoranci in spe.

– Od dawna mógłby być profesorem belwederskim. Mianowanym przez Prezydenta. Oczywiście na wniosek kapituły Rady Naukowej.

– A szef jest belwederski?

– Oczywiście, jakżeby inaczej! Zwyczajni nauczyciele akademicy, kurtuazyjnie nazywani profesorami, nie zostają szefami samodzielnych placówek naukowych o takiej randze jak nasz Instytut.

– Eee! W naszym kraju...

– Przynajmniej u nas tylny nigdy nie był szefem.

– Tylny?

– To właśnie taki jak adiunkt, bez błogosławieństwa kapituły i prezydenckiej nominacji. Pomyśleć tylko, w głowie się nie mieści, marnują faceta, którego iloraz inteligencji jest wyższy niż niektórych dwóch profesorów razem wziętych. Z całego grona pedagogicznego tylko on jeden należy do Mensy, wiesz, co to takiego?

– Stowarzyszenie najwyższych ilorazów.

Wolną chwilą wprowadzała Bognę w realia i atmosferę placówki sekretarka szefa, znajoma Magdaleny zaprzyjaźnionej z Bogną, dzięki której Bogna trafiła do Instytutu.

– Dlaczego adiunkt nie został belwederskim? – Bogna chętnie podtrzymała rozmowę.

– Hardy. Własne zdanie i w ogóle. Niezależny i uparty jak, jak... kot! Wiem co mówię, upór osła to małe miki w porównaniu z nieustępliwością i dumą kota.

– Ludzie nie lubią niezależnych.

Miernoty nie lubią, zdolni lubią, chociaż mają respekt. Przy nim nie popróżniają, ale o swoich uczniów dba. Najpierw wywalczył bufet, żeby mogli na miejscu zjeść coś gorącego, później kabinę odnowy biologicznej i kawałek piwnic na siłownię i ćwiczenia gimnastyczne. Z początku profesor nie chciał słyszeć. Stale to samo. Pieniądze. Adiunkt uparty, skakał profesorowi do oczu. Nieraz słyszałam, chociaż drzwi obite poduchami.

– Produkuje nie tyle socjologów co inwalidów, ludzi fizycznie scherlałych – twierdził adiunkt.

– Tylko bez demagogii, panie kolego, bez wiecowych chwytów – denerwował się profesor.

– Ja to panu udowodnię.

– Trzymam za słowo – wycedził profesor.

Adiunkt dopilnował, doktoranci stawili się na okresowe badania lekarskie, później wysypał profesorowi na biurko rozpoznania: skrzywione łopatki, zagrożone kręgosłupy, wadliwe postawy, znalazł się i wrzód żołądka. Profesor nie wierzył, że tej reprezentacji przypadków z encyklopedii medycznej podopieczni nabawili się dopiero w Jego instytucie, ale skapitulował. Adaptowano część pomieszczeń piwnicznych. Wszyscy pomagali w pracach prostych. Najwięcej adiunkt ze swoimi inwalidami. Teraz bardzo sobie chwala. Kompleks gimnastyczny nazywają Adamianum, od imienia adiunkta – opowiadała sekretarka.

– A jego samego, słyszałam, *homo satrapiens*.

– Celne. Ale trafia do niego argumentacja krótka i jasna.

– Nie miałam okazji sprawdzić. Widziałam człowieka kilka razy, przeleciał jak poduszkowiec i znikł.

– Wiem. Cześć, koleżanko! – funduje przednią łapę i już go nie ma. Nie zdarzyło się powiedzieć którejś z nas, że ładnie wygląda, czy zauważyć modną sukienkę lub uczesanie. W tej dziedzinie kompletny dinozaur.

- Nie ma ideałów. Czy mnie przypisano do jego grupy?
- Formalnie, jak wszystko żywe i nieożywione w tej instytucji, należysz do profesora, jednak kontakt z szefem wyłącznie przez adiunkta.
- Jakież mogą mieć sprawy do profesora? Ale czy to oznacza, że mogę wyrzucić za drzwi magistrów?
- Nie możesz. Dla nich zostałaś wymyślona. Przez adiunkta.
- Musiał ten swój iloraz nie lada wysilić. Nie kwestionował mojej płci?
- Pewno nie zauważył.
- Nie wiesz, po co mu żywa rysownicza, skoro w każdym kącie elektronika zdolna wykonać to samo, tylko precyzyjniej?
- Może właśnie dlatego, że żywa. Nie masz innych zmartwień?

Bogna ma, ale o nich niezręcznie mówić. Otrzymuje połowę spodziewanego wynagrodzenia. Nie jest pracownikiem etatowym, tylko na zleceniach. Płacą za dzieło bardzo skromnie. Dzieło musi uzyskać akceptację, czyli podpis, zleceniodawcy, w jej przypadku profesora. W imieniu profesora autograf składa adiunkt, onże sygnuje owe wykresy i ilustracje załączone do korony intelektualnych zmagania magistrów, na koniec wszystko zatwierdza Rada Instytutu. Rysunki, nie dokończone na skutek nagłych zmian koncepcji lub nie dające się adaptować do zupełnie nowych koncepcji, które powstały, zanim Bogna ukończyła zamówione prace, zalegają ką plastyczny i nikogo nie obchodzą.

Bogna nie umie upominać się o swoje, tym bardziej, że w umowie żaden paragraf nie ma odniesienia do podobnej sytuacji. Nie z jej winy zdeaktualizowane plansze wyrzuca i stara się ograniczyć szkody. Jednak tych zaniechanych prac przybywa. Powtórki zabierają czas. Dzień zajęć w Instytucie wydłuża się, dochód pozostaje niezmienny. Mimo to Bogna nie może zrezygnować. Pieniądze z Instytutu uzupełniają wpływy z dekorowania wystaw, łącznie umożliwiając względną finansową niezależność.

Decyduje patent uczelni plus legitymacja związku twórczego. Talent bez dyplomu lub przypisania do jakiegoś stada – przynajmniej twórców nieprofesjonalnych oszańcowanych nie mniej od zawodowców – rzadko osiąga płacę zgodną z umiejętnościami. Bogna, bez cenzusu i przynależności, nie ma wyboru.

Coraz częściej dogania dnie wieczorami. Wieczorny Instytut sprzyja pracy. Korytarze są ciche i puste. Tylko w portierni drzemie albo gra w szachy z kierowcą woźny, po pracowniach siedzą tu i ówdzie najzaciętsze mole, ale nie wpada do kąta Bogny ani jeden kudłacz z najpilniejszym na świecie zleceniem opatrzonym cyfrą adiunkta oznaczającą: pilne.

Bogna znajduje nawet chwilę, żeby odetchnąć, posiedzieć w odprężającym niemyśleniu. Na takim niemyśleniu, wyciągniętą w fotelu z nogami wspartymi o rajzbret, zaskakuje ją adiunkt.

– Koleżanko, proszę...

Bognę paraliżuje skrępowanie. Zaprezentowała się wiceszefowi fatalnie. Próżniak, udający ciężko zajętego, rozwalający się w wyściełanym meblu zabranym z sali konferencyjnej. Ta ocena wywołuje reakcję łańcuchową. Czuje falę ciepła na policzkach, co pogłębia zmieszanie i znosi dystans do własnych odczuć. Pozostaje Bogna pępek świata, z pewnością niewłaściwie oceniony na skutek pozorów. Do tego rumieniec. W wieku trzydziestu pięciu lat. Katastrofa! Bogna coś duka, uznaje, że głupio, owe stwierdzenie do reszty obezwładnia swadę, ale przynajmniej dociera, po co osobiście fatygował się adiunkt.

Jeden z jego kudłaczy właśnie zalał kawą kartkę swojej bezcennej pracy i trzeba ją przepisać na prawie już muzealnym urządzeniu, zwyczajnej maszynie do pisania. Akurat żadnej instytucyjnej pani nie ma na miejscu, czy Bogna będzie uprzejma?

Adiunkt zdaje się żywić przekonanie, że umiejętność posługiwania się tym wykopaliskowym urządzeniem jest endemiczną właściwością kobiet.

Bogna będzie uprzejma.

– Przyślę delikwenta. Podyktuje.
– Nie mam wprawy w pisaniu pod dyktando – tłumaczy się Bogna jak z przestępstwa. Samodzielnie wskrzesza stronicę i odnosi adiunktowi. Zostaje poczęstowana kawą. Później, gdy wychodzi z Instytutu, pan Józio na jej widok zostawia nierozegraną partię.
– Jedziemy! – i na zdziwione spojrzenie Bogny: – Szef kazał panią wpisać na listę.
Od tej pory, podobnie jak pracownicy naukowci, może skorzystać ze służbowego samochodu. Zwłaszcza wieczorem, czasami adiunkt, zanim zatelefonuje po auto, zawiadamia Bognę i zabierają się razem, nieraz dołącza któryś z kudłaczy. Zawsze jednak, nawet jeśli wóz jest pełen ludzi, najpierw odwożą Bognę, wyjątek robią, gdy nadarzy się bibliotekarka, osoba znacznie starsza od Bogny.

Adiunkt nabrał zwyczaju zaglądania do pracowni plastycznej. Nie za często i nie zawsze z konkretnego powodu. Wstąpi, wygłosi zwięzły monolog, Bogna przeważnie inteligentnie milczy i właściwie czuje ulgę, kiedy kończą się te, krótkie zresztą, odwiedziny. Ale zanim wejdzie wieczorem do Instytutu, spogląda ku górze budynku, czy świeci się w pierwszym oknie na piętrze, przy występie frontonu. I coraz częściej, jeśli tylko pozwalają terminy, odkłada zajęcia na popołudnie. Nie, nie z powodu tego oświetlonego okna. Skądże! Po prostu jej znacznie lepiej się o tej porze pracuje...

Nie wiadomo, kiedy zaczyna na niego czekać. Z początku bezwiednie nasłuchuje odgłosu szybkich kroków na schodach usytuowanych w pobliżu jej pracowni. Jeśli nie przychodzi, nie odczuwa zawodu, tylko schyłek dnia robi się jakiś szary i czegoś w nim coraz bardziej brakuje. Gdy uświadamia sobie tę nową jakość, wpada w lekką panikę.

Nic groźnego – zbyt mnie onieśmiela – paraliżująco – bariera nie do pokonania – przecież się nie zadurzę jak uczennica – mamy swoje lata – nie jesteśmy wolni – nie – nie chcę takiej pokątnej miłości – nie będzie pokątnej miłości –

W kraju zdążył się zmienić sejm i rząd zanim Kolegium Finansowe – dokąd sekretariat przesłał notatkę, dotyczącą odrzuconych prac plastycznych – wypowiedziało się na piśmie w sprawie pieniędzy w ogóle, a nieprzydatnych ilustracji w szczególności i odwołało do opinii adiunkta, oczywiście na piśmie, sygnatura, dziennik podawczy, i tak dalej.

– Proszę o nie zakwalifikowane prace – zagląda wieczorem adiunkt.

Bogna ciska w kąt poplamiony farbami kitel, który wprawdzie chroni ubranie, ale też ukrywa największy atut Bogny, piękną figurę. Wyciąga tekę z odrzutami.

– To wszystko?

– Z ostatniego okresu. Wcześniejsze niszczyłam. Brakuje miejsca na dłuższe przechowywanie – mówi niezupełnie z sensem, w tej samej tece zmieściłaby wszystkie odrzuty.

Bogna stara się być rzeczowa i opanowana. Lecz wciąż jeszcze odczuwa treść, wywołaną przez obecność tego mężczyzny. Wbrew pozorom nieśmiała, od dawna potrafi to mniej lub bardziej zręcznie ukryć, w końcu nie jest podlotkiem, a mężczyźni w większości bywają jej sprzymierzeńcami. Adiunkt także traktuje ją życzliwie, dlatego ona nie potrafi się z nim oswoić i zachowywać naturalnie?

W tym budynku, warunkach, zależnościach on urasta na olbrzyma. A jest to zwykły, no! może nie tak zupełnie zwykły, doktor socjologii, adiunkt, nauczyciel akademicki, niewątpliwie utalentowany, kudłaty jak większość jego wychowanków, tylko niedbale ostrzyżony, jedynie w ździebko mniej rozciągniętym swetrze niż jego podopieczni, ale w tandetnych niedopasowanych dzinsach ze Stambułu, fatalnie skracających nogi – wyjaśnia sobie Bogna, sprowadzając tę niezwykłość do ludzkiego formatu i bez zastanowienia robi coś zupełnie niestosownego. Przymykając jedno oko, odmierza kciukiem proporcje na pędzelku trzymanym w ręku.

– Miara do portretu? – uśmiecha się adiunkt.

– Tylko studium głowy – gubi się Bogna.

– Nie nadaję się na model w całości, dlaczego pani tak sądzi?
– Ta konfekcja... – usiłuje wybrnąć Bogna.
– Mogę wystąpić w todzie, chce pani? Rozumiem! Akt... Pozwoli pani, że propozycję przemysłu. Akt jako określenie kondycji naukowca i wychowawcy następców.
– Pan mnie onieśmiela. Dlatego jestem taka niezręczna – przyznaje się Bogna.
– Przepraszam. Nie miałem takiego zamiaru – patrzy na nią z uśmiechem. Głęboko osadzone oczy, wydatne kości jarzmowe j brwi schodzące się u nasady nosa sprawiają wrażenie, że uśmiechają się tylko usta, reszta twarzy zachowuje swój zwykły, mroczny wyraz.

Dlaczego tak na mnie patrzy, pewno uważa że bluzka ma za duże wycięcie – peszy się Bogna i nagle czuje się okropnie wydekoltowana. Wykręty. Samej przed sobą. Wcale nie chodzi o bluzkę, sprawa jest poważna. Spogląda w tamte mroczne oczy, czuje jakby od nich biegł promień do jej oczu. Trwa chwilę, mniej, ułamek chwili – ale Bogna już wie, co się im wydarzyło.

– Obiecano kawę – upomina się adiunkt. Jego uśmiech obejmuje całą twarz. On także wie, co się im wydarzyło.

3.

Ulka wypływa z głębiny snu. Zatrzymuje się pod powierzchnią. Marzy jej się przezroczyste lustro wody, z tym wrażeniem wynurza się na krawędź jawy. Jest nad wielkim Jeziorem. Jeśli wieje wiatr, nie wychodząc z domu można słyszeć grzywacze chluszczące o nasadę moreny, jestem u babki –

– Bardzo się o ciebie niepokoiłam – wpadła w ramiona Marty, oczekującej na przystanku. – Dlaczego nie telefonowałaś?

– Próbowałam. Nic z tego. Na linii niemożność absolutna. Ulka miała przyjechać porannym autobusem, ale nie przyjechała. Marta w nerwach spędziła pół dnia.

Samą wysłali – za młoda na nocne podróże – zawsze ją ojciec przywoził – mógł jeszcze i w tym roku – niespokojnie na drogach – ocal Boże od złego przypadku – benzyna droga – muszą oszczędzać – jednak Bogna powinna dzieciakowi towarzyszyć –

Brakuje zgrania między dalekobiezną trakcją a połączeniem lokalnym z Sarnią. Wprawdzie dworzec autobusowy w Suwałkach nareszcie przeniesiono w pobliże kolejowego, ale pociąg się spóźnił i Ulka nie zdążyła na pierwszy autobus. Do południa na tej trasie kursy są dwa, obsługują ją kierowcy znani Marcie od dziecka.

– Mówiłam pani doktor, warszawski pośpieszny nie przybył na czas, wnuczkę przywiozę następnym rejssem.

Szofer wysiadł, z bagażnika w podbrzuszu pojazdu wydobyl plecak Ulki, pomógł umocować na rowerze Marty.

– Do widzenia, pani doktor – uniósł dłoń do czapki i wrócił do kabiny wozu.

– Już trzecie pokolenie mi doktoruje. Przestałam prostować. Beznadziejne. Dzieci słyszą od starszych i tak dziedziczą – jak co roku tłumaczyła się Marta, patrząc na mgielkę po autobusie.

– Nikomu nie szkodzi – Ulka chwyciła rowerowe ręczki. Skręciły w leśną drogę, wysokopiennie jodły, stykające się nad duktem koronami, zamykały zielony łuk. Ulka poddała się wrażeniu, że kroczy nawą wielkiej świątyni.

– Ten patent mnie się nie należy.

– Masz absolutorium i wieloletnią praktykę, sam dyplom to poniekąd papier.

– Klucz do zawodu, moje dziecko.

– Sama mówiłaś, samouk, którego tu zastałaś, wiedział więcej od ciebie o leczeniu zwierząt, chociaż był analfabeta, a ty po studiach zaocznych.

Taka rozmowa powtarzała się w każde wakacje, zaraz po pierwszym doktorowaniu babce w obecności Ulki. Upewniała Martę, że z upływem czasu reakcja wnuczki na ów honorowy tytuł pozostaje niezmienna.

– To były wieczorowe zajęcia z okrojonym i przyspieszonym programem. Brakowało kadry we wszystkich zawodach, wymordowanej, rozproszonej po emigracjach, obozach, zmobilizowanej. Gdy tylko wojna przeniosła się dalej, ustanawiano takie szkoły, dwa lata zaliczano w rok. A on, ten zielarz, niezupełnie był analfabeta, umiał podpisać i czytać drukowane.

– Fantastyczne! Ile jeszcze osób umiało czytać drukowane?

– Ze starszego pokolenia niewiele, i najlepiej z kantyczki.

– I we wsi był jeden rower, jedno radio tranzystorowe... – bierze udział Ulka w znanej od zawsze opowieści, jakby ją musiała odnawiać, żeby się nie zatarła.

– Radio na kryształek – prostuje babka.

– ...ludzie chorowali na kołtun, znachor od zwierząt był na noże ze znachorką od ludzi, ponieważ nie tylko kurował żywy inwentarz, ale także podbierał jej pacjentów... Wierzyć się nie chce!

– Tak było. A chociaż od tamtej pory minęło ponad pięćdziesiąt lat i odchodzą generacje, w zbiorowym doświadczeniu pozostał zapis tamtej biedy i cywilizacyjnego zapóźnienia. Niestety, że znowu nadciąga niedostatek, może i gorszy od tamtego, ponieważ ludzie są światlejsi, więcej rozumieją i więcej chcą.

Martę ogólnie szanują. Wciąż jest w Sarniej Kimś, chociaż już od kilku lat na emeryturze. Ludzie tutaj z dobrą pamięcią, nie zapominają ani złego, ani dobrego, nie zapominają przekazu pokoleń minionych.

Marta przez pół wieku dbała o ich zwierzęta, nierzadko świadczyła ludziom. Nie zawsze mieli w Sarniej auta – przeważnie ciężko wypracowane za niemiecką granicą – pekaes też nie zatrzymywał się na asfalcie za lasem. Nie docierał tutaj żaden autobus, ponieważ nie było asfaltu. Najbliższa, teoretycznie regularna, komunikacja zaczynała się dwadzieścia pięć kilometrów za Sarnią, od Suwałk dzieliło ponad trzydzieści pięć z okładem.

Chorych woziło się wozem w drabinki wymoszczone półkoszkami, w konie pod dużą albo saniami, lecz kiedyś, kiedy istniały jeszcze prawdziwe zimy – bywało, puchu nasypie równo z kominami – Sarnią odcinało od świata. I Marta pomagała cierpiącym według sumienia i umiejętności, a oprócz niezliczonych miotów cieląt, prosiąt, jagniąt i źrebaków, wielu dzieciom w Sarniej szczęśliwie zawiązała pępek.

– Ciekawe, kiedy się pokaże? – przystanęła, nasłuchując, Marta, ale brzmiał tylko tryl kosa i perkusja dzięcioła.

– Kto?

– Płowy.

– Myślałam, że pozostał w domu.

– Oczywiście pozostał.

Płowy, kundel postury basiora, przypominał szkielet obciążony sparszywiałą skórą, gdy kilka lat temu przywłókł się z lasu i legł na siedlisku Marty. Miał przestrzeloną nogę. Z wycieńczenia nie mógł już wstać, tylko wyszczerzył się z rozpacz, bezsilności i urazy do człowieka. Musiał srogo doświadczyć od tego gatunku.

Marta rozpoczęła ratunek od napojenia ciepłym mlekiem. Odkarmiony i wykurowany, z czasem raz jeszcze zaufał dwunogiemu, przywiązał się do Marty jak tylko pies potrafi. Ostała mu się chroma łapa po brenece i paniczna reakcja na odgłos strzału, ale owe śmiertelne niemal doświadczenie nie odmieniło natury. Pozostał leśnym żulem, zbójem i kłusownikiem.

– Płowy nie idzie, Płowy zostaje – zapowiadała Marta, wychodząc z domu. Obwisały uszy, klęśły boki, opadał łeb na przednie łapy – jasnożółte oczy przygasały ze smutku, u stóp Marty leżał najciężej skrzywdzony, najniešťeśliwszy na świecie czworonóg. Jeszcze tylko nikły płas ogona objawiał szczątek nadziei.

Z niesprawną kończyną nie był już groźny dla wolno żyjących stworzeń, ale głośnym zachowaniem płoszył i przerażał, zwłaszcza wiosną, młode. Dopiero gdy się szło w Puszcę z Płowym, widziało się i słyszało, jak bardzo jest zamieszkała.

Marta odchodziła, ogon nieruchomiał, nieporuszony pies pozostawał na miejscu powalony bezlitosnym zakazem. Gdy znikaa z pola widzenia, szorując brzuchem po trawie, czołgał się na ugiętych nogach, wlokąc jak pług okaleczoną. Prędko odkryty i odsyłany z powrotem, po kilku niepowodzeniach zmienił postępowanie. Ruszał za Martą, gdy już nie mogła go widzieć i towarzyszył jej, przekradając się w pobliżu za osłoną podszytu cichy i niewidzialny. Długo o tym nie wiedziała.

– Przyłapałam za jałowcami dopiero niedawno, zbierając pierwsze poziomki. Było parno, słyszę, coś zieje po psiemu. Pomyślałam, złudzenie. Aż zobaczyłam go znieńacka. Biedny inwalida uwłoczył się za mną po lesie. Niewiarygodne, jakie instynkty powściągał ten wagabunda, zbój i kłusownik, wyraźnie przyuczony przez jakiegoś bandytę do wypłaszania zwierzyny. Od tej pory tak chadzamy, ja udaję, że nie wiem, a on się ujawnia dopiero przed opłotkami.

Płowy – wagabunda – zbój – kłusownik – przecież tak do niego i o nim często mówią. Wszystkie znane imiona na raz, to już ponad wytrzymałość nawet tak przebiegłego czworonoga i na drogę wytoczyło się, zamiatając chromą łapą, psisko wielkości jednodniowego cielaka. Z niegodnym, szczenięcym piskiem przypadło do Ulki, wspięło się, omiotło jęzorem twarz dziewczyny i zaraz stanęło na wszystkie trzy zdrowe nogi. Wlepiając w nią jasnożółte ślepie, uruchomiło ogon.

Chodź do lasu, pomożesz złapać te szybkie zwierzęta.

– Beznadziejny nałogowcu, mało ci jednej breneki – małodusznie wypominała Ulka.

Zmrużył swoje wilcze patrzaki, kłapnął na coś skrzydlatego w powietrzu i jak gdyby nigdy nic, dalej namawiał Ulkę do kłusowania.

Babka przejęła rower z rąk Ulki.

– Prowadź dziecko do domu! – zburzyła kalkulację Płowego i pies jak dawniej, gdy Ulka była zupełnie mała i trzeba ją było stale pilnować, chwycił zębami brzeg kurtki dziewczyny. Człapał obok karnie, nie wyprzedzał, mężnie znosząc wabiące zapachy zwierząt buszujących gdzieś w pobliżu.

Dopiero przy końcu duktury wystrzelił do przodu i z wielkim ujadaniem oznajmił przybycie swego stada.

Ulka znowu się zdziwiła, jak zmałał dom babki od ubiegłych wakacji w porównaniu z tym noszonym w pamięci, lecz o upływie lat najbardziej świadczyły modrzewie w głębi siedliska na skarpie, sadzone ręką Marty.

Ulka budzi się wreszcie na dobre i siada na tapczanie.

– Dzień dobry, przodkowie – składa ukłon portretom na przeciwległej ścianie. W izbie oddanej w pacht Ulce wiszą podobizny nieżyjących członków rodziny, w pokoju babki fotografie Bogny, Ulki i siostry Marty, Karoliny.

W wąskich, ciemnych ramach z polerowanego drewna, obwiedzionych we wgłębieniu złotą żyłką, za szkłem, w owalnych wycięciach kremowych passe-partout z grubo tłoczonego kartonu, trwają twarze zatrzymane na zawsze w czasie dawno minionym.

Kiedyś Ulka dwojga z nich się bała. W niepojęty sposób wodziły za człowiekiem oczyma. A jeśli człowiek ledwo odrósł od ziemi, nic przyjemnego taka niesamowita obserwacja. I Marta na czas pobytu Ulki zabierała Przodków do siebie.

Od dawna już się nie boi, para o niepokojącym spojrzeniu to rodzice babki Marty i jej siostry Karoliny. Dla Ulki po dwakroć pra. Następna podobizna przedstawia bardzo młodą dziewczynę w ślubnym stroju i młodego mężczyznę. Ewę, jedyną córkę babki, i jej męża. Na ostatniej jest dziadek. Nigdy za jego życia nie widziany przez Ulkę. Osobnik spokojny, nie wodzący oczyma za ludźmi. Ulka uznała go za swojego stronnika przeciw tamtej parze, podpatrującej, i nazywała po imieniu.

– Henryka zostaw – broniła zaprzyjaźnionego i babka zabierała tylko wodzących. Henryk zostawał. Poza tym nie stanowił przedmiotu większego zainteresowania, tym bardziej, że tej jakby ztłalej pamięci o nim ledwo starczało na Sarnią. Poza domem babki Marty niknął w zapomnieniu.

Ulka nieduża nie miała żadnych zastrzeżeń do wyglądu Henryka, Ulka większa zauważyła jego młodzieńczy wiek, stanowczo niestosowny dla dziadka.

– Poległ – wyjaśniła babka. I nic więcej nie dodała do tego jednego słowa.

Jeśli poległ, znaczy zabili na wojnie. Żadna różnica, na której.

Numerowanie: pierwsza, druga, wydawało się pozbawione sensu, skoro wszystkie wojny, skąd nie powrócili różni młodzi dziadkowie, działy się na długo przed Ulki zaistnieniem, czyli w prehistorii. I w ogóle ów za młody, poległy dziadek był jakiś wielce spóźniony. Dziadkowie koleżanek sprawiali wrażenie normalnych dziadków, a jeśli nawet, zdarzało się, opuszczali świat na zawsze, to nie jako polegli, tylko na zawał albo inną chorobę, niekiedy z powodu wypadku samochodowego.

– Przypadł ci w udziale dziadek z dawniejszej generacji. Żaden problem. A teraz idź i zajmij się Płowym – kiedyś wyrzuciła Ulkę do ogrodu zniecierpliwiona ciotka Karolina, warszawska siostra babki.

Karolina z mężem prowadzi wytwórnię pojemników ogrodniczych, doniczek z plastyku i ceramiki. Córka ciotki, Anka, po skończeniu stomatologii wyszła za mąż za kolegę ze starszego roku z licencją chirurga szczękowego.

Karolinowie – tak przezwał starszych mąż Bogny – w prezencie ślubnym podarowali młodemu gabinet dentystyczny, a oni prędko dorobili się opinii bardzo dobrych specjalistów. Z czasem bycie pacjentem Karolinów – w niewyjaśnionych okolicznościach złośliwość męża Bogny, wydostała się na szersze forum, przylgnęła do drugiego pokolenia i zaczęła żyć własnym, pozbawionym jadu życiem – stało się synonimem nie tylko najwyższego standardu, ale także rodzajem nobilitacji i snobizmu.

Bardzo wytwornie było i nadal jest posiadać swoją kartę leczenia u Karolinów. Maskowano tam szczyby w uśmiechu, zasadzano zupełnie nowe, nieużywane trzony i siekacze schyłkowej kaście ancient régime'u. Z odpływem wysadzonych z siodła niesłusznych, miejsca obsadzili słuszni, którzy także pragnęli kosztownych wszczepów i łudząco prawdziwych sztucznych zębów, za co, jak i za niesłusznego systemu, płaciło państwo, właśnie przez słusznych podobno naprawione i wolne.

Kuzynka Anka z własnej inicjatywy zadbała o zęby rodziny. Założyła kartotekę Bognie, jej mężowi i Ulce. Świadczyła kunsztem, najnowocześniejszą techniką i najlepszymi materiałami. Za materiały mąż Bogny uparł się zwracać koszty.

Poza tymi wizytami Bogna z Ulką bywały u Karolinów niezbyt często. W okolicach Nowego Roku, Świąt Wielkiejnocy i imienin, zawsze w Wigilię, ponieważ mąż Bogny przeważnie wtedy wyjeżdżał na kolejny, najważniejszy mecz brydżowy. Zdarzało się, że któryś z mężczyzn rodziny przywoził Martę i zaprzyjaźnionego z nią emerytowanego leśnika, który był w Sarniej od zawsze.

– Zgroza! Zamorduje to biedne dziecko – orzekła Karolina, gdy dowiedziała się, że mąż Bogny zaangażował lektorkę języka angielskiego dla Ulki, gdy skończyła cztery lata.

Lektorka przychodziła trzy razy w tygodniu i – w interpretacji Karoliny – dręczyła bezbronne dziecko przez godzinę, z przerwą w środku.

– Koszmarny Babon.

Podслуchała Ulka opinię o tej krewnej nie dla niej przeznaczoną, bo w obecności małoletniego pokolenia nie wieszano się psów na rodzinie, żeby nie nabrało uprzedzeń. Rodzina jest rodziną i nie należy osłabiać i tak nadwątlonych więzi.

Więzi pozostały, jakie były, tylko od tamtej pory, ilekroć Karolina jej się narazi, Ulka mruczy do własnej brody: – Babon, na tyle jednak niezrozumiale, aby nikt nie odgadł znaczenia.

– Karolina jest apodyktyczna, prędko do gniewu i obcesowa, ale ma dobre serce. Twoja mama mieszkała u niej, gdy po maturze przyjechała do Warszawy. Czasy były niełatwe, a ciotka, wtedy jeszcze na dorobku, nie była taka zamożna jak teraz.

Wyszła z wojny goła i bosa – pomyślało się Ulce.

We wczesnym dzieciństwie wyobrażała sobie gromadę nagich ludzi chodzących po gruzach. Na przyjęciach u ciotki Karoliny bywało sporo pań, które wyszły z wojny gołe i bose. Gruzy stanowiły tajemnicze dopełnienie kompletnego neglizmu Babona i jego znajomych.

Wszystkie zasłyszane opowieści działy się nieprawdopodobnie dawno. Karolina i tamte imieninowo-noworoczne panie wydawały się już wówczas okropnie wiekowe, teraz ciotka Karolina ma siedemdziesiąt cztery lata. Kambr środkowy. Era paleozoiczna. Ulka przyrzekła sobie nigdy nie mieć siedemdziesięciu czterech lat. A chociaż czuje się prawie dorosła, postanowienie pozostało w mocy.

– Wodę macie doskonałą – chwali Karolina i otulona szlafrokiem haftowanym w złote koguty zasiada do kolacji.

Odkąd w domu babki zainstalowano ubi i łazienkę, co stało się nie za pamięci Ulki, Babon zjeżdża rokrocznie, żeby zobaczyć i pobyć z siostrą. Łaskawie pozwala się obsługiwać, oprócz Marty próbuje rządzić także Ulką.

– Ula, zetnij na rano trochę pokrzywy, chcę umyć głowę – zarządza Karolina.

– Mhy – Ulka rącho zrywa się od stołu, bierze koszyk i rękawiczki, zdejmując ze ściany stary sprzęt, półkoliste ostrze na krótkim trzonku wytoczonym z drewna. Już nikt we wsi nie używa takiego narzędzia i mało u kogo przechowało się w obejściu, chyba przez zapomnienie, w trudno dostępnym zakątku.

– Ula, weź sekator – psuje cały efekt babka.

Sierp wraz z wiązką kłosów i zasuszonym pękiem nieśmiertelników, pośród innych gospodarskich archaizmów – czyże do kremplowania wełny, żelazko z kominkiem na węgiel drzewny, gliniane ładyszki, kołowrotek, maślnica – dekoruje kuchnię, czasami tylko posługuje się nim babka.

– Ona zawsze porozumiewa się pomrukami? – ciekawi Karolinę.

– Mhy – świadomie wystawia Ulka na próbę cierpliwość Babona, ale Babon, ociężały po kolacji, nie podejmuje rękawicy.

Płowy opuszcza spokojną przystań pod stołem i idzie za Ulką, chociaż obfita rosa leży już na trawach.

Wieś opłotkami wspiera się o Puszcę. Siedlisko babki, usytuowane na skraju, z dwóch stron okala las. Las od gruntów przyzagrodowych oddzieliło leśnictwo wysokim płotem, żeby państwo nie musiało płacić odszkodowań za wyżarte przez leśną zwierzynę warzywniki i przydomowe zagony kartofli.

W kącie pod ogrodzeniem buja kępa dorodnej pokrzywy. W powrotnej drodze Ulka omija otwarte okno pokoju z Przodkami, skąd na czas pobytu Karoliny Ulkę przesiedla się do wąskiego, długiego pomieszczenia nazywanego alkierzem, obok izby zajmowanej przez babkę Martę.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI